

ISLAM I TERROR

Zapis dyskusji zorganizowanej w dniu 3 października br. w Warszawie przez Fundację im. Stefana Batorego i redakcję „Tygodnika Powszechnego”.

Krzysztof Kozłowski: Witam Państwa w imieniu Fundacji im. Batorego i „Tygodnika Powszechnego”, który jest współorganizatorem tego spotkania. To dobrze, że reagujemy tak szybko na problem bynajmniej nie akademicki, ale jakże aktualny, wręcz gorący. W wyniku zbrodni popełnionej w Nowym Jorku i Waszyngtonie toczy się wojna. Ale czy naprawdę wiemy – my kraje NATO – z kim walczymy, o co i jak jest cena tej wojny? Nie może być obojętne, czy mamy do czynienia z terrorystami, którzy skądinąd są muzułmanami, czy też walczymy z radykalnym skrzydłem islamu używającym metod terrorystycznych. Co więc zrobić, by wbrew naszym intencjom nie zrealizował się czarny scenariusz – by muzułmanie nie uznali tej walki za wojnę zamerykanizowanej, bogatej, białej i chrześcijańskiej Północy ze światem islamu broniącym swoich wartości?

Aleksander Smolar: Tytuł naszej dyskusji - *Islam i terror* - brzmi dość prowokacyjnie i reakcje na naszą inicjatywę nie zawsze były przychylne. Widziano w naszym zamyśle niebezpieczeństwo związane z atmosferą, która dziś często otacza wyznawców islamu. Oczywiście nie zamierzaliśmy podsycać manifestujących się niechęci. Chcieliśmy jedynie wyraziście sformułować temat dyskusji, bo wszyscy zadajemy sobie pytanie czy to, co się stało 11 września w Nowym Jorku jest tragicznym, ale jednak incydem, czy też jest w tym zapowiedź szerokiego, czy wręcz globalnego konfliktu? Dobrze wiemy, że nie jest to jedyny przypadek samobójczych zamachów terrorystycznych, choć skala ostatnich wydarzeń i ich następstwa są wyjątkowe. W obliczu tragedii musiało pojawić się pytanie, na ile źródeł tego typu zachowań należy szukać w islamie. Chociaż nikt chyba nie będzie dowodził, że ta religia nieuchronnie produkuje terrorizm. Z drugiej strony idea zorganizowania naszej dyskusji wynika z przekonania, że wraz z końcem zimnej wojny pojawiło się zapotrzebowanie na globalnego wroga, na wyrazistą linię podziału, która by organizowała, porządkowała świat. I dzisiaj istnieją wyraźne tendencje – myślę, że bardzo niebezpieczne - by właśnie z islamu uczynić głównego wroga cywilizacji Zachodniej, czy euroatlantyckiej w XXI wieku. Intelktualnie istotną rolę odegrała tu książka Samuela Huntingtona *Zderzenie*

*cywilizacji*¹, w której zarysowany został nieuchronny konflikt cywilizacji, przede wszystkim chrześcijaństwa z islamem. O konflikcie cywilizacji pisali już Spengler, Toynbee i wielu innych. Niemniej kariera, jaką zrobiła koncepcja Huntingtona była symptomatyczna dla postzimnowojennej pustki. Uznaliśmy, że w tej sytuacji pożyteczniej będzie skoncentrować naszą dyskusję nie na zamachu w Nowym Jorku i Waszyngtonie, czy na działaniach wojennych w Afganistanie, lecz na głębszych, kulturowych, cywilizacyjnych przyczynach obecnej tragedii i problemach, przed którymi możemy stanąć.

Radosław Sikorski: Chciałbym powiedzieć jedynie o jednym, wąskim fragmencie tego problemu: mianowicie skąd wzięli się terroryści w samym Afganistanie? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy cofnąć się do roku 1973, kiedy to lewicujący kuzyn króla Zahera Szaha obalił monarchię. Dokonał tego przy pomocy maleńkiej partii komunistycznej Afganistanu, mającej wówczas około 5000 członków w kraju liczącym, jak się szacuje, 12 milionów ludzi. Daud Chan, ów kuzyn króla, jako prezydent rządził pięć lat. W 1978 roku został on obalony w wyniku przewrotu wojskowego. Tak się złożyło, że większość członków partii komunistycznej stanowili wyjątkowo fanatyczni oficerowie armii afgańskiej wyszkoleni w Związku Radzieckim. W ich działaniach było coś z polpotyzmu: chcieli pokazać towarzyszom radzieckim jak w ciągu kilku lat wprowadza się socjalizm w społeczeństwie feudalnym. Szacuje się, że przez 18 miesięcy swoich rządów komuniści afgańscy zamordowali od kilkunastu do 200 tysięcy swoich przeciwników politycznych: przede wszystkim przywódców plemiennych, inteligencję, przywódców religijnych, mułłów. Próbowano zniszczyć tradycje, przeprowadzić kolektywizację, rozdział ziemi. Spotkało się to z powstaniem ludowymi we wszystkich prowincjach Afganistanu. Była to autentyczna rewolucja, która obaliłaby reżim komunistyczny, gdyby nie inwazja radziecka w Wigilię 1979 roku. To z kolei wywołało wielką wojnę narodowo-wyzwoleńczą, silnie motywowaną czynnikiem religijnym. Paradoksalnie, sami Rosjanie próbowali wpływać na komunistów islamskich, aby stonowali swoją anty-religijność. Prezydent Nadżibullah, który zastąpił Karmala, pierwszego władcę narzuconego przez Związek Radziecki, ogłosił nawet swój reżim rządem islamskim. Przywrócono dotacje dla meczetów, zielone flagi, powoływano się na Boga, ale to nie pomogło. Reżim raz na zawsze stracił wiarygodność. Wojna ta uzyskała poparcie nie tylko amerykańskie, ale także arabskie. Zbigniew Brzeziński w

¹ Samuel P. Huntington, *Zderzenie cywilizacji i nowy kształt ładu światowego*, przeł. Hanna Jankowska, Warszawa 1997.

ostatnich miesiącach prezydentury Cartera uruchomił pierwsze programy pomocy dla mudżahedinów. Administracja prezydenta Reagana systematycznie je zwiększała, a przełomowa była podjęta w roku 1986 decyzja o wprowadzeniu na pole bitwy rakiet przeciwlotniczych typu Stinger. To spowodowało, że szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na korzyść mudżahedinów. Cała akcja Związku Radzieckiego była oparta na zaopatrzeniu garnizonów z powietrza przez helikoptery. Wprowadzenie Stingerów oznaczało, że helikoptery nie mogły latać. Wymuszało to z kolei konieczność podwojenia, a nawet potrojenie ilości żołnierzy, co wiązało się ze ściąganiem wojska z NRD lub z granicy chińskiej, lub też wprowadzeniem mobilizacji, albo podjęciem decyzji o wycofaniu. Wybrano to ostatnie rozwiązanie.

Bardzo ważny jest fakt, że cała pomoc amerykańska i arabska trafiała do mudżahedinów za pośrednictwem wywiadu pakistańskiego ISI, który planował operacje, a także decydował do której partii, do którego dowódcy trafia broń i pieniądze. A miał on swoich faworytów. Po pierwsze dlatego, że w armii pakistańskiej, szczególnie w Północno-Zachodniej Prowincji Przygranicznej i w wywiadzie była duża grupa Pusztunów, narodu, który zamieszkuje po obu stronach granicy. Oni naturalnie faworyzowali swoich ziomków. Jednym z największych odbiorców pomocy amerykańskiej, był Gulbudin Hekmatjar, najbardziej fanatyczny i antyamerykański z przywódców ruchu oporu, który nie tyle walczył z Sowietami, co głównie magazynował większość broni na przyszłą walkę o władzę w Kabulu. Gdy reżim Nadżibullaha wreszcie padł, Hekmatjar miał wystarczające siły, by nie pozwolić na konsolidację rządu mudżahedinów, który zdobył Kabul. Pakistański plan zakładał powstanie przyjaznego rządu pusztuńskiego, który mógłby strategicznie wspierać Pakistan w jego konflikcie z Indiami, rządu, który nie podniesie kwestii granicy pomiędzy Afganistanem i Pakistanem - wyznaczonej swego czasu przez Brytyjczyków - która dzieli na pół tereny pusztuńskie. Ten plan ustanowienia Hekmatjara władcą Afganistanu nie powiódł się i w roku 1995 pojawili się talibowie. Część z nich to dowódcy polowi z czasów walki z reżimem Nadżibullaha, ale większość to młodzi chłopcy ze szkół koranicznych z terenu Pakistanu.

Należy pamiętać, że talibowie nie są typowymi Afgańczykami. Przed wojną Afganistan był jednym z najbardziej otwartych krajów muzułmańskich na świecie. Większości jego mieszkańców to sunnici obrządku hanafi, będącego jednym z najbardziej tolerancyjnych odłamów islamu. Natomiast talibowie są ludźmi wykorzenionymi. Są „produktem” obozów dla uchodźców, skrajnej biedy, tragedii rodzinnej, brutalności, wyalienowania i bardzo

częstkowej, wyłącznie koranicznej edukacji. Dla nich Koran - interpretowany skrajnie - jest jedynym punktem odniesienia. Ważne jest także, że talibowie wywodzą się przeważnie z południa, z okolic Kandaharu - skąd pochodzi przywódca Mułła Omar - najbiedniejszych i najdzikszych obszarów Afganistanu, które od wielu lat są centrum produkcji narkotyków. Reżim talibów przejął władzę w 1996 roku opanowując tereny nie pusztuńskie - Herat, później Mazar-i Szarif. I rozpoczął nie afgańską „grę”, tzn. nie stara się doprowadzić do pogodzenia największego plemienia Pusztunów z mniejszościami, co stanowiło zasadę tamtejszej polityki. Obsadził wszystkie stanowiska swoimi, nie tylko Pusztunami, ale częściowo przybyszami z zewnątrz. Mówi się, że we władzach talibów około 40 procent to sfanatyzowani Arabowie. O łamaniu praw człowieka, o odebraniu praw kobietom wszyscy już słyszeli, nie będę więc o tym mówił.

Jak można wypłenić terror z Afganistanu? W tej chwili oglądamy pierwszą scenę pierwszego aktu: wytropienie, schwytanie bądź zlikwidowanie Osamy ben Ladena. Aby skończyć tam z terroryzmem, należy przywrócić normalne struktury państwa, bo dzisiaj ono tam nie funkcjonuje. Co więcej, uważam, że nie można tego zrobić jedynie siłami afgańskimi. To państwo odrodzi się tylko pod warunkiem, że sformowany w Kabulu rząd będzie wsparty dużą pomocą humanitarną i rozwojową i poprzez jej dystrybucję będzie mógł utworzyć - odbudowując administrację - system powiązań na prowincji. Powinno było się to stać tuż po wycofaniu się Związku Radzieckiego i upadku reżimu komunistycznego. Nie doszło do tego, ponieważ nie powstał reprezentatywny rząd w Kabulu. Dzisiaj należy znaleźć rozwiązanie pozwalające na stworzenie takiego rządu, świadomie nie mówię demokratycznego, bo nie można na to liczyć w kraju zamieszkałym w zdecydowanej większości przez analfabetów, w którym nie ma dróg, elektryczności, telefonów. Można jedynie liczyć na tradycyjnie quasi-demokratyczne instynkty ludności. Tam zawsze decyzje - czy w wiosce, czy w mieście - zapadały jawnie. To powinna być nie tyle namiastka demokracji, co umiarkowanego rządu, który musi się składać z przedstawicieli wszystkich grup etnicznych i religijnych w tym kraju. Można mieć nadzieję, że po dwudziestu latach wojny wszyscy, nawet Pakistańczycy, doszli do wniosku, że nigdy jednej grupie nie uda się narzucić swojej woli innym. Uważam, że w tej sytuacji król może odegrać bardzo pozytywną rolę. Powstanie rządu z Pasztunem na czele, w którym byłyby reprezentowane mniejszości: Tadźycy, Uzbegy, Hazarowie, być może pozwoli osiągnąć moment spokoju w Kabulu i umożliwi uruchomienie programu pomocowego i odbudowy, a to dałoby szansę na stabilność tak w krótkim jak średnim i dłuższym okresie.

Jan Maria Rokita: Czy istnieje zagrożenie konfliktem cywilizacji? Czy są jakieś przesłanki w cywilizacji islamskiej, które do takiej konfrontacji mogą ją popychać? Nie czuję się na siłach, aby udzielić stanowczych odpowiedzi na te pytania. Po prostu nie mam aż takiej wiedzy na temat islamu. Spróbowałbym natomiast przynajmniej sformułować pewne wątpliwości.

Tezą obowiązującą w naszym kręgu cywilizacyjnym jest ta, że rozpoczyna się dziś wielka operacja przeciwko terroryzmowi, w której świat chrześcijański i świat muzułmański zgodnie mają wystąpić po stronie dobra, zaś po drugiej stronie są zli terroryści, którzy ani z chrześcijaństwem, ani z islamem nie mają absolutnie nic wspólnego. Na słuszność tej tezy wskazują aktywne zabiegi Stanów Zjednoczonych o poparcie państw muzułmańskich dla operacji przeciwko terrorystom i uznanie przywództwa amerykańskiego, a co za tym idzie, uznanie przywództwa kraju zachodniego nad jakąś częścią świata muzułmańskiego. W tym duchu występował chociażby prof. Janusz Danecki w niedawno opublikowanej rozmowie z dziennikarzami „Gazety Wyborczej”, opatrzonej wymownym tytułem *Terror szokuje muzułmanów*². Rzecz stała się niemal definitywnie przesądzona, gdy papież w Kazachstanie - bezpośrednio po wydarzeniach amerykańskich - wygłosił pochwałę klasycznej cechy świata muzułmańskiego: łagodności.

Teza ta, mająca oczywiście polityczny podtekst, opiera się na trzech założeniach. Po pierwsze, że istnieje pewna fundamentalna jednolitość moralna świata, bez względu na rozmaite podziały polityczne, kulturowe i cywilizacyjne, a teraz należy odbudować tę jednolitość w walce ze złem, które się szczególnie nasiliło. Po drugie, że islam z natury rzeczy nie jest agresywny. Jeśli już pojawiały się jakieś epifenomeny zła w historii religii, to miało je i chrześcijaństwo i islam. Po trzecie wreszcie, że nie ma konfliktu cywilizacji, a wojna, która ma się właśnie rozpoczyna, nie jest jej przejawem. Chciałbym się tym założeniom przyrzeć, bo moim zdaniem są one co najmniej wątpliwe.

Świat podejmujący pod przywództwem USA wojnę antyterrorystyczną jest w najwyższym stopniu cywilizacyjnie i kulturowo różnorodny. Pozór jednolitości wynika z funkcjonujących wszędzie McDonald'sów i rozplenienia się systemów informatycznych. Powracając do przywołanej przez Aleksandra Smolara książki Huntingtona, sądzę, że po jej wydaniu nikt nie ma wątpliwości, iż unowocześnianie świata jest czymś innym od jego

² *Terror szokuje muzułmanów*, [rozmowa Ewy Siedleckiej z Januszem Daneckim], „Gazeta Wyborcza”, 2 października 2001, s. 12.

okcydentalizacji. Świat nowoczesny nie musi być światem zachodnim. Przynajmniej co do tego nie ma wątpliwości. Koalicja antyterrorystyczna od samego początku jest skazana na krótkotrwałe istnienie. Nic nie wskazuje, że Rosja przystąpiła do niej, by wspólne zwalczać terrorizm. Przeciwnie, celem jej obecności w koalicji jest upieczenie paru własnych geopolitycznych interesów, związanych chociażby z zablokowaniem wstąpienia państw nadbałtyckich do NATO, czy też definitywnym rozwiązaniem konfliktu czeczeńskiego. Kluczowy kraj, niezbędny dla powodzenia operacji - Pakistan, znalazł się w koalicji sterroryzowany politycznie amerykańskimi groźbami, najpierw poufnymi, a w pewnym momencie nawet jawnymi. Jest jasne, że został do tego zmuszony, chociaż jest to równoznaczne ze zniszczeniem jego wieloletniej polityki wspierania talibów. Wreszcie obecność i poparcie innych krajów arabskich w całym tym przedsięwzięciu jest krótkotrwałe, prowizoryczne i wraz z chwilą, kiedy konflikt stanie się bardziej dramatyczny a równocześnie przewlekły, koalicja się rozpadnie. Wątpię, by nasz świat był na tyle cywilizacyjnie i kulturowo jednolity, aby taką wojnę z terroryzmem stoczyć. Wątpię też by powstała koalicja była silnym związkiem, a nie przypadkowym, doraźnym zlepkiem, który utrzyma się nie dłużej niż przez parę pierwszych tygodni operacji amerykańskiej w Afganistanie.

Co do założenia, że islam z natury rzeczy nie jest agresywny, chcę zgłosić tylko kilka pytań. We wspomnianej już rozmowie prof. Danecki powołuje się na piękne zdanie z Koranu „kiedy zostaniecie zaatakowani w sercu islamu - brońcie się i prowadźcie dżihad” i powiada, że muzułmanie mają obowiązek dbania o czystość religii, somodoskonalenia się, obrony wiary w dyskusji i obrony zbrojnej w czasie ataku. To zdanie pochodzi z drugiej sury Koranu. Odnalazłem dalsze jej fragmenty, których profesor - jak rozumiem, w szlachetnej intencji - nie cytował. „Ale gdziekolwiek będą walczyć przeciwko wam, zabijajcie ich. Taka jest zapłata niewiernym. A jeśli ktoś do was odnosi się wrogo, to i wy odnoście się do niego wrogo”. I dalej w 47 surze: „Kiedy spotkacie tych, którzy nie wierzą, to uderzcie ich mieczem po szyi. A kiedy ich już całkiem rozbijecie, to mocno zaciśnijcie na nich pęta”. Rzecz nie w cytatach. Ale gdy przegląda się nie uwikłane w dzisiejszą sytuację opinie znawców świętej wojny w klasycznej doktrynie islamskiej - powołam się tu na prace znanych w Polsce autorów: Sourdelów³ i Godefroy-Demombynes’a⁴ - to ich teza jest bardzo jasna. Islam stoi na dwóch fundamentach ideowych, które odróżniają go od chrześcijaństwa.

³ Janine i Dominique Sourdel, *Cywilizacja islamu (VII-XIII w.)*, przeł. Maria Skuratowicz i Wojciech Dembski, Warszawa 1980.

Po pierwsze na objawieniu, a po drugie na zwycięstwach militarnych. Tylko przypomnę, że założyciel islamu, dokonuje usprawiedliwienia serii napadów grabieżczych swoimi objawieniami. Należy pamiętać, że pogląd klasycznego islamu na ten temat jest dość radykalny. Wszyscy są obciążeni obowiązkiem walki z niewiernymi. Ci, którzy nie walczą bezpośrednio są obowiązani świadczyć jałmużnę na tych, którzy walczą. „Będziecie walczyć na drodze Boga własnym majątkiem”, powiada Koran. Godefroy wskazuje na ciekawą ewolucję pojęcia Szahida, bohatera świętej wojny w islamie. Początkowo można by go określić, posługując się kategoriami chrześcijańskimi - męczennikiem za wiarę, później jest wojownikiem, który idzie rabować, napadać i ma gwarancję zbawienia w pierwszej kolejności. Jeden z hadisów powiada: „Raj prawdziwy jest pod błyskiem mieczy”. Udawanie dzisiaj przez ludzi Zachodu - po to, by mieć muzułmańskich sojuszników w walce z terroryzmem - że chrześcijaństwo i islam są jednorodne, bo chrześcijaństwu przydarzyła się święta inkwizycja, a w muzułmanizmie czasem działali jacyś asasyni, jest - w moim przekonaniu - fałszerstwem rzeczywistości. Doktryna islamu jest inna od doktryny religijnej chrześcijaństwa. Pytam zatem: czy nie jest ona podatna na agresywną interpretację?

Co do przekonania, że nie ma konfliktu cywilizacji, to doskonale wiadomo, że świat fundamentalnych wartości chrześcijaństwa i islamu jest różny, ale jest pewna kwestia, która sprawia, iż obie cywilizacje są ustawione wobec siebie antagonistycznie. Chrześcijaństwo potrafiło dość sprawnie przeprowadzić w pierwszych wiekach swojego zwycięstwa w Europie rozdział pomiędzy odpowiedzialnością za doczesność i wieczność. W islamie takie rozdzielenie nigdy nie nastąpiło. Godefroy pisze, że taki rozdział w żadnym z krajów islamu nie mógł być przeprowadzony, bo oznaczałby zdradę islamu. Innymi słowy, świat islamski zawsze odczuwał - i zapewne tak jest również dzisiaj - potrzebę udowodnienia tu, na ziemi, a nie w jakiejś eschatologicznej perspektywie, że Mahomet miał rację. Nie myślę tu o rozradowanych Palestyńczykach, których mogliśmy oglądać w telewizji po zamach w Nowym Jorku, bo można uznać, że mają szczególne wynikające z poczucia krzywdy powody do radości. Ale myślę chociażby o tłumach studentów uniwersytetów indonezyjskich manifestujących w obronie talibów i przeciw cywilizacji zachodniej w największym muzułmańskim kraju świata. A także o niedawnym ciekawym reportażu „Gazety Wyborczej” z Kataru⁵, pokazującym wyraźną społeczną mobilizację po stronie

⁴ Maurice Godeffroy-Demombynes, *Narodziny islamu*, przeł. Hanna Olędzka, Warszawa 1988.

⁵ Magdalena Rostoń, *Allah i petrodolary*, „Gazeta Wyborcza”, 29-30 września 2001, s. 12.

talibów bardzo różnych odłamów opinii publicznej, i to w kraju, który jest raczej uważany za prozachodni. W tej sytuacji można mieć zasadnicze podejrzenia, że coraz większa część społeczności muzułmańskiej opinii publicznej postrzega obecne wydarzenia jako konflikt cywilizacyjny.

Muszę bardzo mocno zaznaczyć, że podobnie jak wszyscy ludzie Zachodu nie chciałbym, żeby doszło do konfliktu cywilizacji. W szczególności nie chciałbym tego jako Polak, ponieważ jestem głęboko przekonany, że konflikt cywilizacyjny pod przywództwem Ameryki angażuje nas, patrząc z perspektywy polskich interesów państwowych, w przedsięwzięcie całkowicie egzotyczne. Tam nie ma żadnych polskich interesów i poza jednym niezbyt zrównoważonym generałem deklarującym się po tej stronie w gazetach, nie ma w Polsce nikogo, kto by z entuzjazmem wojska tam prowadził. Nie chciałbym także, aby w obliczu konfliktu cywilizacyjnego racje takich krajów jak Litwa, Łotwa, Ukraina i Białoruś, nie mówiąc już o Czeczenii, stały się w świecie zachodnim, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, racjami z oczywistych powodów drugorzędnymi. Nie chciałbym, żeby tak się stało nie tylko z powodów sentymentalnych, ale dlatego, bo w tym upatruję polski interes państwowy.

Przywykliśmy do tego, że pewnych rzeczy mówić nie wolno, lub też z konieczności mówi się o nich nie do końca tak, jak jest naprawdę. Zgadzamy się na to, że ustanawiamy sobie dzisiaj pewnego rodzaju tabu na komentowanie rzeczywistości. Świat zachodni ustanowił pewne tabu w rozmowie o islamie. Pewnych rzeczy teraz mówić nie wolno, bo jest to szkodliwe i może obudzić niebezpieczne demony. Rozumiem to tabu i w nim uczestniczę. Ale pytam tylko, czy nie jest tak, że tabu to złamał Berlusconi, który z wrodzoną sobie arogancją powiedział, że chciałby dalszych zwycięstw Zachodu nad obcą cywilizacją? Czy jego myślenie nie jest bliskie wielu Amerykanom i z drugiej strony obywatelom Kataru? Czy nie usiłujemy sobie upiększyć rzeczywistości? Owszem, ta rzeczywistość, którą sami dziś próbujemy stworzyć jest lepsza, ale czy zgadzacie się Państwo ze mną, że jest choć trochę zaklinana?

Krzysztof Mroziewicz: Na pytanie: komu mamy wydać wojnę? odpowiedziałbym innym - kto nam wydał wojnę? Bo to nie my ją zaczęliśmy. I druga sprawa, kto to są „my”? Czy „my” opisani przez Huntingtona? Można postawić inaczej problem. Nie mówić o konflikcie między cywilizacjami, lecz o konflikcie między wartościami. Zwróciłbym tu uwagę na różnicę między zbiorem wartości europejskich i wartości azjatyckich. Te pierwsze

rozmaicie można opisywać, ale najprecyzyjniej wyrażają je standardy z Maastricht: poszanowanie praw człowieka i praw mniejszości, poszanowanie granic. Tych wartości nie ma w Azji. Gdyby były, nie byłoby islamu. Gdyby były, nie byłoby terroru. Gdyby były, nie byłoby dżihadu. Wartości azjatyckie, jak je określa Amartya Sen, to lojalność wobec państwa - jakiegokolwiek ono jest i lojalność wobec rodziny - jakiegokolwiek ona jest. Dlatego nie budziła zdziwienia obecność portretu Mao na zapleczu każdego sklepiku w Singapurze, nawet w okresie rewolucji kulturalnej.

Gdy mówimy o islamie i terrorze, to zaraz ciśnie się na usta słowo dżihad. Termin ten oznacza zbiorowy wysiłek, ale też świętą wojnę. Interesujące jest, że w wystąpieniach islamskich polityków termin dżihad pojawia się wiele razy natomiast ani razu nie posługują się oni innym terminem ihsan, co oznacza czyn dobro. W związku z zaistniałą sytuacją my też przyjmujemy narzucony nam dżihad rozumiany tylko jako obronę. Można powiedzieć: my na tej sali wydajemy wyrok, a kara zostanie wykonana za chwilę w Afganistanie. Na tym można by zakończyć. Ja zawęziłbym jednak temat rozmowy. Mamy do czynienia z wieloma islamami. Ten najciekawszy zaczynał się wraz z al-Farabim, przez Awicennę a skończył się w XIV wieku. Wyrastał on z tradycji europejskiej, tradycji greckiej, myśli arystotelejskiej, ale także platońskiej. Zakończył się on wraz z dziełem pewnego filozofa islamskiego „Zabijam filozofów, zabijam filozofowanie”. Od tego momentu islam oderwał się od tej tradycji judeo-chrześcijańsko-islamskiej. Judaizm i chrześcijaństwo nie są głównym tematem naszych rozważań. Należy jednak pamiętać, że obie te religie też bywały okrutne, posługiwały się przemocą, ale uszlachetniły się z czasem i dzisiaj żadnemu z tych filarów kultury nie można postawić zarzutu formułowanego dosyć łatwo wobec współczesnego islamu. Podkreślam jednak to, że są rozmaite islamy. Dlatego nie chciałbym oskarżać wszystkich muzułmanów o dokonanie zamachów na Nowy Jork i Pentagon.

Przez wiele lat mogłem obserwować przemoc stosowaną przez islam: wydarzenia w Afganistanie w okresie sowietyzacji tego kraju czy też komunalizm, czyli przemoc o podłożu etniczno-religijnym w Indiach. O Afganistanie wiele już powiedział Radosław Sikorski. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden aspekt tej przemocy, która jest częścią doktryny politycznej, za jaką uważam islam, ale także częścią tradycji pasztuńskiej, która z islamem ma niewiele wspólnego. W Afganistanie obowiązuje kodeks zemsty rodowej, zemsty plemiennej pasztunwali. Społeczeństwo afgańskie jest społeczeństwem plemiennym, ściślej mówiąc, społeczeństwem klanowym. Naród pasztuński uważa się za naród afgański i powszechnie sądzi się, że nie-Pasztun nie może sprawować władzy. Na tym polegał dramat

Ahmeda Szaha Masuda - najbardziej utalentowanego dowódcy partyzanckiego, znakomitego stratega: był Tadżykiem. Co gorsze, zginął w najmniej stosownym momencie, jeżeli w ogóle tak można powiedzieć o śmierci człowieka.

Należy też pamiętać, że rządzenie Kabulem nie oznacza rządzenia całym Afganistanem. Rządzi ten, kto jest panem na tym skrawku ziemi, gdzie jest trochę wody i jest trochę żywności. Tylko tyle, ponieważ żadna infrastruktura władzy nigdy tam nie powstała. Zawsze trwały walki między plemionami, traktowane trochę jako sposób organizacji wolnego czasu, a trochę jako sposób dostępu do siedmiu ważnych szlaków kontrabandy z Pakistanu do Azji Środkowej. Otóż wojny plemienne zawsze były prowadzone według pewnych zasad. Nie można było ich prowadzić podczas prac na polach, których jest tam niewiele, jakieś 5% powierzchni całego Afganistanu. Wobec tego panowanie nad 90% terytorium afgańskim, nie oznacza panowania nad całym państwem, musiałoby się panować nad każdym kiszlakiem, a takiej władzy nigdy nikt w Afganistanie nie zdobył. Są tam też pewne zwyczaje demokratyczne, oczywiście nie w rozumieniu europejskim, nawet nie azjatyckim, ale w plemiennym. Podczas spotkań wodzów plemiennych - dżirga, albo loja dżirga - zapadają decyzje, które powinny być respektowane i wykonywane, ponieważ za ich niewykonanie płaci się głową. Otóż te wojny plemienne w Afganistanie toczyły się tak, by nie zabierać czasu potrzebnego na uprawę tej odrobiny roli. Po drugie, nie wolno było prowadzić wojen na terenach uprawnych, ani nawet w pobliżu wiosek. Krótko mówiąc, nie wolno było niszczyć infrastruktury, która pozwala odrodzić się wojnie w następnym sezonie. Nie wolno było też zabijać zwierząt, mordować kobiet ani dzieci. Mogli wojować wyłącznie młodzi mężczyźni, a starcy siedzieli na dywanie i w oparciu o wiadomości z pola bitwy ustalali aktualny podział władzy na szlakach.

Rosjanom, gdy weszli do Afganistanu, nikt nie powiedział o tradycjach wojen plemiennych. Złamali oni wszystkie te zasady: atakowali kiszlaki, całe wioski łącznie z kobietami, dziećmi i zwierzętami. A kodeks zemsty rodowej nakłada obowiązek ukarania tego, kto sprawił, że zginął ktoś z twojej rodziny. Krótko mówiąc, jeżeli zabito kogoś w moim rodzie, to moim obowiązkiem, a jeśli go nie dopełnię, to obowiązkiem mojego syna, a jeśli nie mojego syna, to mojego wnuka jest doprowadzić, żeby tamten ród doznał takiej samej straty. Artur de Gobineau, którego nazwisko niezbyt mile się kojarzy, napisał opowiadanie „Kochankowie z Kandaharu”. Jest tam opis wioski całkowicie wymarłej, opustoszałej, ulepionej z takiego jakiegoś popielatego błota, z jakiego w Afganistanie buduje się domy. Siedzi tam stara kobieta z fuzją marki enfield i czeka na kogoś kogo ma zastrzelić. Ona

jedyna przetrwała w tej wiosce po łańcuchu zemst rodowych, które spowodowały wybicie dwóch rodów. Tak wyglądał Afganistan.

Od tego czasu nie wiele się zmieniło. W tej chwili Sojusz Północny, a nawet niektórzy talibowie próbują negocjować z królem, żeby wrócił do Afganistanu i przywrócił jakąkolwiek normalność. Ale to nie jest możliwe. Sowietyzacja pociągnęła za sobą śmierć od dwóch do czterech milionów ludzi. To oznacza, że nie ma rodziny, na której nie ciąży obowiązek zemsty rodowej. Nie można skierować jej przeciwko Rosjanom, bo ich tam już nie ma, ale są ludzie, którzy z nimi współpracowali. Na tych ludziach wisi wyrok śmierci i będzie wykonany. I w tym wszystkim znalazł się ben Laden. Nie jest to człowiek naznaczonym charyzmą. Jest to nudny i ciężko chory Jemeńczyk z pochodzenia, mający liczne kompleksy, który wie tyle tylko, że powinien zgodnie z nakazami wahabidzkimi dążyć do przywrócenia islamu w wersji stworzonej dla niepiśmiennych beduinów. Ale zrobił to, by pokazać, że należy poważnie traktować jego i wszystkich ludzi, których wokół siebie zgromadził. A skupiła ich nie tyle charyzma, ile pieniądze - fortuna jego rodziny oceniana jest na 5 miliardów dolarów. Za te pieniądze można wynająć profesjonalistów. Aliści ci, którzy to zrobili w Nowym Jorku i Waszyngtonie nie byli najemnikami. To byli ludzie działający w oparciu o swoje głębokie przekonania, doświadczenia i potrzebę wynikającą z wiary.

Odpowiedź na pytanie Krzysztofa Kozłowskiego zostanie sformułowana za dzień, dwa... Zwlekanie z nią utrudni tylko przeprowadzenie operacji, w której nie wystarczy użyć kilku rakiet. Chyba, że uda się kupić od talibów ben Ladena, bo w Afganistanie zawsze trwają bitwy i trwają negocjacje. A uruchomienie pieniędzy może być przydatne, ponieważ tam najdroższa operacja pokojowa będzie tańsza od najtańszej operacji wojennej.

Konstanty Gebert: Nie unikniemy podstawowego problemu: czy islam odpowiada za terror, czy islam jest terrorystyczny, agresywny, jak mówił Jan Maria Rokita. Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy uzmysłwić sobie fundamentalną różnicę między islamem, a także judaizmem z jednej strony, a chrześcijaństwem z drugiej. Otóż w obu tych monoteizmach - islamie i judaizmie - nie ma chrześcijańskiego podziału na sferę świecką i duchową. Wszystko, co się dzieje w społeczeństwie islamskim jest islamem. Podobnie jak wszystko, co się działo w tradycyjnym społeczeństwie żydowskim było judaizmem. W tradycji chrześcijańskiej z istniejącym podziałem na sferę duchową i świecką możliwe są takie działania polityczne i społeczne, których nie przypisuje się na konto religii. Za to

analogiczne działania w społeczeństwach, w których tego podziału nie ma, idą na konto religii. Na przykład obu wojen światowych nie uważa się za wojny chrześcijańskie, ponieważ były toczone przez państwa świeckie, ale zarazem nie byłoby to wielkim nadużyciem, jeśli by przypomnieć fakt, że chrześcijańscy duchowni po obu stronach frontów mobilizowali do tych zmagania Boga. Islam nie może powiedzieć: to robią ludzie wyrosli w cywilizacji i kulturze islamu, ale robią to jako świeccy. Wszystko to, co się dzieje w społeczeństwach islamskich może więc być przypisywane religii, choć może to być nadużyciem.

Jeżeli mówimy już o nadużyciach, to dziwię się, jak Jan Maria Rokita może po przeczytaniu dwóch książek na temat historii islamu orzec definitywnie, że islam jest agresywny. Byłbym zresztą równie zdumiony, gdyby Jan Maria Rokita uznał, w oparciu o takie badania źródłowe, że islam jest religią pokoju i miłosierdzia. Jego obraz islamu przypomina mi obraz cywilizacji chrześcijańskiej w ustach niektórych polityków islamskich. Ja się tego boję. Można by długo rozwodzić się nad tym, że islam uznaje Religie Księgi – judaizm i chrześcijaństwo – podczas gdy chrześcijaństwo bardzo długo uczyło, że poza kościołem nie ma zbawienia. Można by pokazywać jaką antyhumanitarną i niemal morderczą religią jest chrześcijaństwo, zaś wspaniałą religią miłosierdzia jest islam przez to, że uznaje różne wiary. Byłoby to równie niemądre.

Niewątpliwie jest bardzo wiele zbrojnych ruchów, w tym ruchów terrorystycznych, które się do języka islamu odwołują. Trudno pewnie to odwołanie uznać jedynie za nadużycie, przynajmniej nie słyhać specjalnych głosów sprzeciwu ze strony społeczności islamskiej, kiedy w imieniu islamu Dżihad czy Hezbollah popełniają zbrodnie. Nie jest oczywiście tak, że islam jest jedynie religią miłosierdzia, tolerancji i braterstwa, choć jest nią także. I byłbym ciekaw jak profesor Danecki zechce nam wytłumaczyć owo milczenie, które dla mnie jest ważniejsze od oszołamiających wybuchów entuzjazmu, które żeśmy widzieli na ulicach Nablusu, czy w Dżakarcie, ponieważ takie same wybuchy entuzjazmu, „a dobrze, że się Amerykanom dostało” widziałem na stronach czatowych „Gazety Wyborczej”. I choć tego nikt chrześcijaństwem nie uzasadniał, *c'est le ton que fait la chanson*.

Czy mamy do czynienia z koalicją antyterrorystyczną? Oczywiście, że nie. Mamy do czynienia z koalicją w skład której wchodzi, ze względów doraźnych, państwa wspierające jeszcze wczoraj terroryzm, a które może jeszcze dzisiaj znajdowały się w spisie państw „bandyckich” Departamentu Stanu - wystarczy wymienić Syrię. Na liście organizacji potępionych przez prezydenta Busha nie ma takich organizacji terrorystycznych jak Hamas,

Hezbollah, czy Dżihad Islamski, ponieważ ich wskazanie - mimo, że mają związki z al-Kaida - utrudniłoby budowanie koalicji przeciwko ben Ladenowi, w skład której Amerykanie pragną wciągnąć również państwa, które organizacje te popierają. Nie ma w tym nic dziwnego. Koalicja antyhitlerowska była równie dziwną koalicją. Koalicja antynapoleońska była tylko trochę mniej dziwaczną. Ta koalicja ma jedynie na celu dopadnięcie ben Ladena. Koalicje bowiem zawiera się po to, by wygrywać wojny, a nie po to, żeby udowadniać słuszności tez amerykańskiego akademika. To, że ta koalicja nie pasuje do Huntingtonowskiej wojny cywilizacji, nie oznacza, że jest to koalicja wbrew naturze.

Nie wolno zapominać, że samo dopadnięcie ben Ladena nie będzie oznaczało pokonania światowego terroryzmu. Przeciwnie, rozmaite inne organizacje terrorystyczne dostały przynajmniej zawieszenie wyroku, jeżeli nie znak dyskretnego poparcia. Zaś atak na World Trade Center jest dowodem, że terroryzm jest skuteczny. W związku z tym będziemy mieli z nim do czynienia dłużej i na stałe, niewykluczone, że także u nas w domu. Z perspektywy muzułmańskich zwolenników teorii Huntingtona, którzy są równie niemądrzy jak ich chrześcijańscy koledzy, my tutaj w Polsce też jesteśmy po stronie tego białego świata cywilizacji zachodniej, która jakoby uciska świat arabski, świat muzułmański. A z tego, że jesteśmy mniej tego świadomi wynika, że się mniej przed tym bronimy i chronimy. Wcześniej czy później ktoś wpadnie na pomysł, że łatwiej będzie atakować cele w Europie Wschodniej niż Zachodniej, a to też Europa, i o to chodzi. Także tutaj nie wróżę wielkich sukcesów koalicji antyterrorystycznej.

Nie wróżę też sukcesów pomysłom takiego doraźnego ad hoc rozprawienia się z terroryzmem, jak np. nowa amerykańska inicjatywa w sprawie Bliskiego Wschodu - zakładająca uznanie państwa palestyńskiego - o czym było niedawno głośno. Nie jest to pomysł specjalnie nowatorski. Od czasów Oslo, kiedy Izraelczycy implicite, a potem explicite wyrazili gotowość uznania państwa palestyńskiego, Waszyngton nie toczył z Jerozolimą sporów w tej materii. USA też były gotowe uznać to państwo. Pozostaje kwestią jakie to będzie państwo i w jakich granicach? To stanowi istotę sporu. Myślę, że jeżeli ktoś w Waszyngtonie sobie wyobraża, że uznanie państwa palestyńskiego, czy wywarcie presji na Izrael, żeby to państwo powstało na warunkach korzystniejszych dla Palestyńczyków, a mniej korzystnych dla Izraela, coś zmieni w tym globalnym konflikcie, sprawi, że na Amerykę będzie się patrzyło okiem życzliwszym, to jest w błędzie. Antyamerykańskie dążenia rozmaitych trzecioświatowych ruchów, nie tylko arabskich, nie tylko muzułmańskich, mają dużo głębsze i trwalsze korzenie. Biorą się one po części z takiej dość

elementarnej schadenfreude: dlaczego oni mają być bogaci, piękni i wolni, skoro my nie jesteśmy?

Postawy te biorą się też z bardzo konkretnych doświadczeń, kiedy to Amerykanie przez całą zimną wojnę wspierali rozmaite struktury ucisku w trzecim świecie, czemu pewnie my byśmy przyklaskiwali, ponieważ w tej globalnej konfrontacji byliśmy - społeczeństwo polskie - po tej samej stronie co państwo amerykańskie. To zostawiło trwałe ślady. Niezależnie od tego, czy dojdzie w ramach polowania na ben Ladena do amerykańskiego dyktatu w kwestii blisko-wschodniej, czy też nie dojdzie, nie osłabi to radykalnie antyamerykańskiego, czy antyeuropejskiego terroryzmu aczkolwiek samo w sobie byłoby rzeczą dobrą. W tej chwili oba społeczeństwa - izraelskie i palestyńskie - są tak głęboko sobie wrogie i tak głęboko przesiąknięte wzajemną nienawiścią, że jedynie dyktat z zewnątrz jest w stanie wymusić zawieszenie broni, nie mówiąc już o pokoju. Jeżeli by Amerykanie taki dyktat przeprowadzili, zapewne wzdłuż linii, której Ehud Barak proponował rok temu w Camp David, a Arafat szaleńczo odrzucił, to byłoby to z korzyścią i dla Izraelczyków i dla Palestyńczyków. Nie zmieni to jednak generalnej sytuacji bezpieczeństwa Ameryki skonfrontowanej z ruchami trzecioświatowymi, nie tylko muzułmańskimi, czy arabskimi.

Sądzę, że World Trade Center będzie trochę znakiem tego, jak nasze rozpoczynające się stulecie może wyglądać. Im szybciej świat się globalizuje, tym bardziej jesteśmy świadomi tego jak wygląda życie gdzie indziej. Im częściej ludzie zrozpaczeni, biedni i chorzy będą widzieli na ekranach swoich tanich telewizorów jak żyją ludzie w bezpiecznej i bogatej części świata i im częściej będą się pojawiali ideologowie, którzy odwołując się do islamizmu, marksizmu, Huntingtona, będą tłumaczyli, że istnieje związek bezpośredni, namacalny, przyczynowo-skutkowy między ich biedą a naszym bogactwem, tym bardziej ataki na bogatych będą się powtarzać. Winniśmy być tego świadomi, bo choć tego nie wiemy, to my też już jesteśmy bogaci.

I na koniec chciałbym, abyśmy pamiętali, iż w każdej wojnie są też straty po naszej stronie frontu. W tej wojnie - jeżeli jest to wojna - odwet ben Ladena nam nie grozi, choć czasami się zastanawiam, co takiego ten człowiek ma jeszcze w rezerwie, że zdecydował się na zamach, którego nitki musiały do niego prowadzić. On nie jest samobójcą. Czasami w bardzo czarnych snach myślę sobie, że on trzyma jakiegoś koszmarnego asa atutowego w rękawie i wyciągnie go w stosownym momencie. Mam nadzieję, że się mylę. Ale pomijając ten dość upiorny scenariusz grozi nam co innego: w imię słusznej walki z terrorem jesteśmy

być może gotowi rezygnować z rozmaitych liberalnych mrzonek, takich jak tolerancja, szacunek dla innych cywilizacji, dla pewnych praw i swobód obywatelskich, a także pewnej politycznej poprawności, która zresztą - tu z Janem Marią Rokitą się zgadzam - w jakimś stopniu fałszuje rzeczywistość. Nie jesteśmy wcale tak tolerancyjni, tak otwarci, tak dobrzy, jakby ten dyskurs politycznej poprawności sugerował, ale ona wytycza pewne standardy i pewne normy, do których chcemy dążyć. To jest tak jak dobre wychowanie. Na pewno nie jesteśmy tacy kulturalni, jakby z naszego zachowania ludzi dobrze wychowanych wynikało, ale ja już wolę żebyśmy byli hipokrytami i udawali dobre wychowanie, niż pokazywali sobie nawzajem jacy jesteśmy naprawdę. Polityczna poprawność pełni trochę taką rolę. Otóż teraz nagle wolno być prawdziwym mężczyzną i mówić, jak jeden z amerykańskich kongresmenów, że jeśli faceci sobie zakładają pieluchy na głowę, to nie powinni być wpuszczani na pokład amerykańskich samolotów. Tolerancyjna Holandia w większości uważa, że imigrantów, którzy by wyrazili sympatię dla terrorystów, należy deportować. To się dzieje w kraju, który resztę Europy mógłby uczyć szacunku dla praw człowieka. W Polsce w meczecie lecą szyby. Ksiądz prymas tłumaczy, że nie chcemy tutaj tych przed którymi nas bronił Jan III Sobieski. To wszystko byłoby dość śmieszne i groteskowe, gdyby nie to, że akurat w tradycji europejskiej bardzo dokładnie wiadomo, czym to się może skończyć. Może, ale nie musi. I jeżeli ceną za wojnę z ben Ladenem będzie to, że faceci w pieluchach na głowach będą się bali wychodzić w tych pieluchach na głowach na ulicę, to nie jestem pewien czy mi się opłaca ta skórka za wyprawkę.

Jausz Danecki: Jan Maria Rokita mówił o zaklinaniu rzeczywistości, ja raczej mówiłbym o próbie jej interpretowania. Zacznę od anegdoty, a potem przejdę do jednej hipotezy i kilku objaśnień. Słyszałem niegdyś opowieść o hindusie i muzułmaninie. Hindus pewnego dnia pyta muzułmanina: „Słuchaj, czy to prawda, że wy czcicie świnię?” Muzułmanin jest zaskoczony: „My czcimy świnię, czy to możliwe?” A hindus na to: „No tak, przecież my nie jadamy mięsa krowiego, bo czcimy krowy. Wy, nie jadacie wieprzowiny, znaczy czcicie świnię”. To dobry przykład patrzenia przez pryzmat naszej własnej czy to religii, czy to cywilizacji. Tak często dochodzi do błędów, do nieporozumień między różnymi kulturami, które wynikają nie z innego systemu wartości, tylko ujęcia tych wartości w inne nieco kategorie. Tak też jest z islamem. Patrzymy na niego przez pryzmat naszych przyzwyczajęń, kultury, cywilizacji. Islam patrzy na nas z kolei przez swój pryzmat. Proszę zwrócić uwagę, że teza Huntingtona niemal w stu procentach zgadza się z tezą fundamentalistów

muzułmańskich. Powiadają oni, że świat dzieli się na dwie strefy: na nasz ten prawdziwy, muzułmański, tradycyjny i świat, który nie przyjmuje islamu. Tamten świat trzeba zniszczyć, ponieważ nie przystaje on do naszego, jest niewłaściwy. Huntington powiada podobnie. Świat muzułmański nie przystaje do naszego, ponieważ wyznaje inny system wartości.

Jeżeli przyglądamy się cywilizacji islamu, a zwłaszcza islamowi dzisiaj, to jednak jakiś związek między terroryzmem istnieje. Pada cały czas pytanie: dlaczego właśnie mużulmanie są w największym stopniu zamieszani w różne akcje terrorystyczne i to już od co najmniej trzydziestu lat? Jakież powody tego muszą być. Szukamy ich przede wszystkim w naturze islamu. Szukamy też w czynnikach zewnętrznych. Co zatem w islamie sprawia, że ten terroryzm się pojawia? I, po drugie, jakie przyczyny prowadzą mużulmanów do tego, że tak działają?

Charakteryzując islam można dostrzec powody rodzenia się terroryzmu. W pierwszym rzędzie jest to brak istnienia czegoś, co można by nazwać zinstytucjonalizowaną ortodoksją. Nie ma kościoła, hierarchii duchownych, a w związku z tym jedynym autorytetem są uczeni mużulmańscy. Nie mają oni jednak żadnych sankcji wykonawczych. Mogą wydać swoją opinię - fatwę, która nie jest żadną klątwą, nie jest żadnym wyrokiem, ale zwyczajną, bardzo dogłębnie uzasadnioną opinią dotyczącą konkretnego zagadnienia, czy odpowiedzią na pytanie, np. czy aborcja jest dozwolona? Jeżeli ma autorytet wystarczająco duży, to opinia ta zostanie przyjęta przez władze. Tak było w przypadku słynnej fatwy, wydanej na Salmana Rushdiego. Chomeini jako uczony mużulmański, który ma szczególnie wielki autorytet wydał pewną opinię prawną, która nie była wiążąca dla nikogo, ale rząd irański zechciał tę opinię przyjąć i wydać konkretny wyrok. A zatem nie możemy powiedzieć, że wszystko jest dozwolone w islamie, ale jest ograniczone jedynie autorytetem uczonych, bądź decyzjami władz mużulmańskich.

Następna dość istotna sprawa: czy w islamie możemy rozdzielić to co ludzkie, od tego co boskie? W klasycznym islamie oczywiście nie. Ale we współczesnym islamie, poczynając od XIX wieku, mieliśmy wyraźny rozdział między tymi dwiema dziedzinami. Religia została odsunięta na bok. Państwa mużulmańskie stawały się w dużej mierze państwami świeckimi, w których obowiązywało i prawo mużulmańskie i prawo wzorowane na europejskim, ale nie było podporządkowane w pełni religii ani kościołowi. Dopiero z chwilą narodzin ruchów fundamentalistycznych - pierwszy ruch fundamentalistyczny Bracia Mużulmanie powstał w roku 1928, ale o fundamentalizmie możemy mówić dopiero po 1973

roku - dochodzi do repolityzacji islamu, czyli ponownego objęcie islamem obydwu sfer - boskiej i świeckiej. Po trzecie wreszcie: dlaczego owe wolne plemiona Pasztunów afgańskich przyjmują islam? Jaka jest relacja między islamem a tymi plemionami? Istnieje bardzo daleko idąca zgodność między prawami plemiennymi a islamem. Islam jako taki powstał wśród plemion arabskich i nie tyle zastąpił prawa plemienne, co je uzupełnił. Plemiona arabskie zachowywały swoje dotychczasowe prawa, m.in. wendetty, islam natomiast narzucał jednobóstwo, monoteizm, i cztery obowiązki muzułmanina, czyli pewne przepisy religijne, które były nad strukturami plemiennymi i nie wchodziły z nimi w konflikt. Klasyczne prawo muzułmańskie nie przewiduje ścigania morderstwa ponieważ zostało ono ujęte w prawie plemiennym jako prawo zemsty i jest prywatną sprawą danego człowieka, czy też plemienia. W Koranie pośród sześciu kar i pośród sześciu przestępstw nie ma morderstwa. Dlatego też islam współcześnie łatwo wchodzi w bezpośredni związek ze strukturami plemiennymi, bo nie ma między nimi konfliktu.

A na ile czynniki zewnętrzne doprowadziły do narodzin terroryzmu muzułmańskiego? Według mnie odgrywają one zasadniczą rolę i tak będzie nadal. Wiele zależy od zachodniej polityki wobec świata muzułmańskiego. Prawdą jest, że świat muzułmański nie jest antyterrorystyczny do końca, ale nie można powiedzieć, że jest do końca proterrorystyczny. To zależy od sytuacji w jakiej się znajdujemy. Główny argument Osamy ben Ladena i podobnych mu działaczy organizacji fundamentalistyczno-terrorystycznych jest taki: Zachód nam wyrządził i wyrządza nieustannie krzywdy. Amerykanie - bo oni są na pierwszym planie - bezwzględnie wkraczają w nasz świat. Bezcieszczą go, niszczą, dokonują desakralizacji naszych świętych miejsc. Mówią to dosłownie. I nie dotyczy to jedynie obecności Amerykanów w Arabii Saudyjskiej, ale także Izraela, Żydów w Jerozolimie. W obrazie Muzułmanów Izrael nie jest państwem żydowskim, jakimś odosobnionym, niezależnym na terytorium arabskim. To jest wyłącznie państwo europejskie, państwo zachodnie, a właściwie część Ameryki, która istnieje w samym sercu świata arabskiego i muzułmańskiego. Oni mówią: to jest nasza największa zadra. Nie możemy ścierpieć obecności Amerykanów. Nie Żydów, lecz Amerykanów. Jest to pewien skrót myślowy, ale podobnymi skrótami również my się posługujemy. Jest to bardzo chwytne idea wśród muzułmanów. Jeżeli świat muzułmański a nie terroryści, będzie zaatakowany przez Zachód, to będzie to przyjęte jako atak na islam w ogóle i w związku z tym terroryzm zyska większą sympatię w świecie muzułmańskim. Nie tu mówię o rządach tych krajów, bo jak wszyscy wiedzą, zajmują one często odmienne stanowisko niż ludność tych krajów. Dzisiaj ludność

tych krajów ma duże współczucie dla Amerykanów i ten akt terroryzmu jest dla nich czymś nie do zaakceptowania w świecie muzułmańskim. Ale należy dbać, żeby ta opinia się nie zmieniła. Amerykanie w tej chwili zmieniają swoje stanowisko wobec Palestyny, aby właśnie zyskać przychylność społeczeństw muzułmańskich. I na pewno dzięki temu posunięciu ją zyskują.

Jerzy Pomianowski: Krzysztof Mroziewicz słusznie zastąpił zadane nam na wstępie pytanie innym: kto nam wypowiedział wojnę? Odpowiedź wydawała się prosta. Co najmniej 6 tysięcy mieszkańców Stanów Zjednoczonych poniosło gwałtowną śmierć z rąk dziewiętnastu Arabów, przeważnie obywateli saudyjskich, bo tylko jeden z nich był Palestyńczykiem. Telewizja, radio i gazety Zachodu przedstawiają motywy ich działań w sposób banalny. Na ogół mówi się o fanatyzmie islamskim i szuka poszlak w Koranie, gdzie zręczny interpretator znajdzie dowody tak za, jak przeciw każdej prawie tezie. Z kolei, na muzułmańskim Wschodzie liczne środki przekazu i demonstrujące tłumy w pierwszym odruchu obronnym wielkim głosem krzyczały o intrydze i prowokacji, najpewniej - żydowskiej. Sekundowali im postępowi „poputczycy”, dając do zrozumienia, że przyczyna aktów terroru zniknie, gdy zniknie Izrael, ów powód i dowód grzechów i win kapitalistycznej Ameryki. Łagodniejsi cytują Huntingtona i wieszczą starcie cywilizacji, czyli w praktyce - wojnę religijną - ku uciesze ben Ladenów i al-Zawahirich.

Nie lekceważę czynnika religijnego, uważam go tylko za podpórkę dla zamachowców. Wiary mogli mieć tyle, co krzyżowcy, gdy łupili Konstantynopol. Sądzę, że poświęcili się dla celu, który uważali za większy i ważniejszy, niż życie własne i tym bardziej - życie tysięcy obcych cywilów, i to celu, który przyświeca wcale nie tylko muzułmanom. Jest nim zniweczenie swobodnej wymiany towarów i myśli.

Najskuteczniej broni jej oczywiście Ameryka. Broni nie tyle orężem, czy dolarem, ile przykładem: to w USA ta swoboda zapewniła najżywszy rozwój szkół i przemysłu, farm i laboratoriów, dała ludziom pracę, przyciągając zewsząd tłumy imigrantów.

Kapitalizm, który niektórzy uważają za system skompromitowany nie jest zapewne ostatnim słowem w dziejach gospodarki. Jest wciąż ułomny, jednak okazał się nic tylko wydajniejszy i sprawniejszy od innych, ale - i to jest najważniejsze - reformowalny. Okazał się też groźny dla wszystkich tych przekonań czy tradycji i opartych na nich reżymów, które uznają nakaz, przymus i przemoc za wyłączne sposoby organizacji społeczeństwa.

Sprawcy masakry z 11 września musieli wiedzieć o tym niebezpieczeństwie. Islam nie był

konieczny. Konieczna była za to wiara w zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Bez tej wiary nie sposób zgładzić ani tysięcy, ani nawet jednego nieznanego człowieka. Trzeba wmówić sobie, że jest winny, skoro należy do rasy, klasy, grupy, czy narodu, któremu przypisujesz winę za krzywdy twojej rasy, klasy, grupy, czy narodu. Nie sposób stosować masowego terroru, bez wyznawania przeklętej doktryny zbiorowej odpowiedzialności.

Nie ma kwestii, że Bazie ułatwiła robotę demonizacja Ameryki, podsycana dziesiątki lat przez wszystkie totalitarne reżymy z prawa i z lewa, a szerzona przez znaczną część lewicy naszego kontynentu. Te same siły próbują dziś zapłacić czarną dziurę po marksizmie ideą walki z globalizacją. Ale marksizm miał przynajmniej w programie socjalistyczny projekt organizacji przyszłości i dopiero bolszewicka praktyka udowodniła jego nieprzydatność. Antyglobalizm nie ma żadnego projektu. Jest tylko ruchem protestu. Żąda destrukcji przyczyn różnicy między biedą, a bogactwem. Zamachowcy wyciągnęli radykalny wniosek z tych założeń, biorąc się do destrukcji Ameryki. Luca Casarini, przywódca manifestacji przeciw G8 w Genewie rzucił hasło - uderzyć w serce kapitalistycznego imperium zła! Wkrótce rzecz się stała.

Jest nadużyciem oskarżanie pacyfistów i ekologów, wchodzących do tego ruchu, o współudział, czy nawet podżeganie do zamachu. Ale ślepotą jest negowanie, że manifestacje - dobrze zorganizowane, a przede wszystkim głośne - w Seattle, Goeteborgu, Genewie dostarczyły w porę terrorystom niebywalej okazji, otwierając bramę twierdzy, już dość dawno atakowanej. To nie Ameryka była stroną atakującą ben Ladena, a tym bardziej - islam. Teraz, bronić się chce rakietami, gdy trzeba czegoś całkiem innego.

Sądzę, że nie błahym zadaniem obronnym będzie wyrwanie terrorystom spod stóp gruntu, pozbawienie ich poczucia słuszności. Możemy to czynić, nie wychodząc nawet z domu. Również u nas krążą idee. Wyznają je osoby, nie mające nic wspólnego z islamem, ba, przeklinające zapewne Mahometa i wszystkich jego wyznawców. Są to ideolodzy, działacze grup i partii, publicyści prasowi i radiowi antypapież, starający się wpoić nam przekonanie, że istnieje i obowiązuje zasada zbiorowej odpowiedzialności całych ras, narodów i klas, a także, że największym niebezpieczeństwem jest globalizacja. Nie z przyczyn gospodarczych, ale dlatego, że obala granice i mury.

Krzysztof Kozłowski: Czy zatem - biorąc po uwagę Panów wypowiedzi - nie grozi nam narzucenie reguł wojny plemiennej?

Beata Pawlak: Ben Laden w jednym z wywiadów zażądał, aby Ameryka przestała popierać reżimy bliskowschodnie. Nie można zapominać, że w wielu krajach fundamentaliści są jedyną prawdziwą opozycją. Natomiast Stany Zjednoczone w tych krajach popierają rządzących. W tej dyskusji nie było mowy o ogromnej frustracji świata arabskiego, nie mówiono także o błędach popełnionych przez Amerykę. Pytałam muzułmanów, co myślą o ataku na WTC. Byli przeciw, ale jednocześnie zwrócili uwagę na to, że Stany Zjednoczone i cały świat zachodni, tak wiele mówiący o prawach człowieka, stosuje inne standardy wobec Zachodu, a inne standardy wobec Bliskiego Wschodu i świata arabskiego. Tam, gdzie Zachód widzi pieniądze i swoje własne interesy, tam prawa człowieka nie są stosowane. W tej rozmowie zwrócono uwagę, że śmierć ben Ladena nie rozwiąże problemu. Trzeba zmienić całą bliskowschodnią politykę świata zachodniego.

Radosław Sikorski: Drugiego października rząd amerykański przedstawił Sojuszowi Atlantycznemu dowody, kto jest odpowiedzialny za atak na WTC. Odpowiedzialny jest ben Laden i jego ludzie - organizacja Baza. Znane są też ich żądania: wycofanie armii amerykańskiej z Królestwa Arabii Saudyjskiej, wycofanie wsparcia Stanów Zjednoczonych dla Izraela i nie sprzeciwianie się wprowadzaniu szariat w krajach Afryki i nie tylko.

Uważam, że Baza jest zorganizowana według klasycznych zasad tworzenia siatki, zadziałała też według reguł prowadzenia wojny nieregularnej: zaatakowała, licząc na reakcję, która będzie skierowana na ślepo przeciw ludności cywilnej, ażeby ta ludność, nie mając do kogo się zwrócić o pomoc, tym bardziej zaczęła popierać terrorystów. Póki co Ameryka nie dała się sprowokować, działa rozważnie i mam nadzieję do realizacji scenariusza terrorystów nie dojdzie.

Powiem jeszcze o dwóch sprawach. Zgadzam się, że musimy z terroryzmem walczyć nie zapominając o wartościach, których bronimy, czyli państwa prawa, wolności sumienia i cywilizowanego stylu życia. Wzorem do naśladowania jest sposób, w jaki Niemcy zdusiły terroryzm Czerwonych Brygad nie wprowadzając ograniczeń praw obywatelskich. Jako demokracje mamy prawo bronić swoich własnych zasad. Jeżeli w Niemczech jakiś pan ogłasza się kalifem, albo w szkołach brytyjskich muzułmańskie dzieci cieszą się na wiadomość o atakach w Stanach Zjednoczonych, to znaczy, że stało się coś niedobrego. Wpuściliśmy do domu ludzi, którzy są gośćmi, a mimo to uważają, że nie obowiązują ich zasady przyjęte w danym społeczeństwie. Należy wzmocnić te reguły: tolerancja, ale do pewnej granicy. I nie dziwię się postawie Holendrów. Musimy twardziej bronić naszych

zasad demokratycznych. Świat jest podzielony na państwa narodowe. Jako urzędnik państwowy nie potrafię walczyć z jakimiś prądami kulturowymi czy cywilizacjami. Natomiast państwa narodowe, każde w swoim zakresie, musi zdusić swoich nawołujących do przemocy fanatyków: muzułmańskich, żydowskich, katolickich, anarchistycznych, antyglobalistycznych – niezależnie od ideologii, którą się podpierają dla usprawiedliwienia zbrodni - każde w swoim zakresie, w ramach wojny z terroryzmem.

Jan Maria Rokita: Trudno byłoby się zgodzić na radykalną zmianę polityki Zachodu na Bliskim Wschodzie zgodnie z oczekiwaniami niektórych muzułmanów - musiałoby to oznaczać zgodę na likwidację państwa Izrael. Ale to jest tylko uwaga na marginesie.

Agresja, brutalność, terror postawy fundamentalistyczne były, są i będą obecne w każdej cywilizacji, ponieważ, jak wiadomo, świat nie będzie miał *happy endu*, przynajmniej na tym łez padole. To po pierwsze. Po drugie, czy z związku z tym ktokolwiek i kiedykolwiek stworzył skutecznie trwałą, efektywną koalicję, polegającą na zjednoczeniu całego świata przeciw złu, aby te wszystkie formy przemocy, nacjonalizmu, nienawiści ze świata wyeliminować? Nie. To tylko skrajnie liberalny przesąd głosi, że uda się zakończyć bieg historii jakimś cudownym układem nowego świata. Oczywiście jest więc, że budowana przez Amerykanów koalicja podobna do napoleońskiej czy antyhitlerowskiej, jest doraźnym aktem politycznym, który za jakiś czas się rozleci. Po trzecie, czy w islamie istnieją silniejsze niż w chrześcijaństwie wątki intelektualne, ideologiczne i emocjonalne mogące usprawiedliwiać terror i przemoc? Tak, istnieją! Każdy może dowieść, że równocześnie istniał i istnieje łagodny, tolerancyjny islam. Znajdzie też odpowiednie elementy islamskiej tradycji, żeby przywołać choćby osobę kalifa Muawiję z dynastii Omajjadów, który wykazywał zaraz u początku islamu tolerancję religijną i zdolności do budowy polityki współżycia wielu ludów i religii na świeżo podbitym obszarze Syrii, którym zarządzał. Taka tradycja w islamie też istnieje, ale nie przeczy to istnieniu innych wątków.

Wiemy zatem dobrze, że kolacja antyterrorystyczna się rozpadnie i trwałe zlikwidowanie zła nie jest możliwe. Czy w związku z tym ten konflikt, z którym mamy do czynienia, będzie budził poczucie niechętniej Zachodowi tożsamości po stronie islamu? Tak, będzie budził, chociaż nie znamy tempa, w jakim będzie ten proces postępował. Na pewno warto ten proces hamować, nie przyspieszać. Czy w związku z tym możemy przybliżyć się niepokojąco do opisu relacji chrześcijańsko-muzułmańskich w kategoriach konfliktu

cywilizacyjnego po Nowym Jorku? Tak, ten opis po Nowym Jorku jest bardziej prawdziwy, niż był wcześniej. Wydaje się możliwe, że atak na WTC spowoduje, że stosunki między Zachodem a pewną częścią islamu mogą ułożyć się w najbliższych latach, na zasadzie, *tout proportions gardée*, znanej struktury relacji izraelsko-palestyńskich: napad i ekspedycja karna. A po ekspedycji karnej musi nastąpić kolejny napad, bo rzeczą oczywistą jest, że ekspedycja karna nie może pozostać bez odpowiedzi. Taki jest, jak sądzę, dość prawdopodobny bieg zdarzeń między Zachodem a światem islamu.

Krzysztof Mroziewicz: Uświadamiam sobie, że sprawy o których tu dzisiaj mówimy, leżą znacznie bliżej naszej wrażliwości i naszych interesów, niż to zwykło się nam wydawać. Krzysztof Kozłowski uświadomił mi, że musimy się bronić przed narzuceniem nam reguł wojny plemiennej. Prof. Pomianowski przypomniiał nam, że mamy własnych ben Ladenów, zarówno w Europie, jak w naszym własnym kraju. A Konstanty Gebert powiedział coś, co warto przemyśleć. Zapytał, jakiego jeszcze asa w rękawie może mieć człowiek, czy grupa ludzi, którzy zorganizowani od strony logistycznej i wykonawczej taki majstersztyk. Doktryna odstraszenia, jeżeli mowa jest o terroryzmie, strachu i lęku uprzedmiotowionym może zadziałać. Prawdopodobne jest, że ben Laden ją zastosował. W tym przypadku szło o odstraszanie Zachodu od islamu, od Bliskiego Wschodu, od całej Azji i Afryki. Jeżeli ta doktryna ma zadziałać, to po pierwszym uderzeniu, które nastąpiło w Nowym Jorku, zakłada się przyjęcie odwetu a po tym odwecie następuje uderzenie karne. To może nastąpić.

Konstanty Gebert: Z Janem Marią Rokitą różnimy się na dwóch płaszczyznach: interpretacji tego, co będzie i oceny źródła. Pan mówi, że w islamie jest więcej agresji, niż w chrześcijaństwie. Ja mówię: nie wiem. Ale boję się tego rodzaju kategorycznych stwierdzeń, zwłaszcza, gdy wygłaszają je politycy, mający możliwość wpływania na bieg wydarzeń. Wolę próbować rozumieć. Jestem Żydem, którego islamscy terroryści usiłowali parę razy wysadzić w powietrze, postrzelić, pogonić, więc zawsze mnie bardzo interesuje, dlaczego. Z jednej strony przeraża nas wizja globalnego konfliktu, do którego mogłoby dojść, ale z drugiej strony winny niepokoić nas reakcje po naszej stronie frontu, nieuprawnione uogólnienia antyislamskie. Pozostaje jednak faktem, że istnieje – a na długo przed tymi zamachami był wytwarzany i podtrzymywany - klimat przyzwolenia dla terroryzmu słusznego. Nawet w ostatnich dniach ambasador Francji w Izraelu na spotkaniu z

prezydentem państwa powiedział, że byłoby rzeczą skandaliczną i nieodpowiedzialną, gdyby zrównywać „tzw. terroryzm palestyński w Izraelu” z atakiem na World Trade Center. Tymczasem to właśnie myślenie, że istnieją terroryzmy mniej i bardziej dopuszczalne, że ktoś, kto je pizzę w pizzerii w Jerozolimie ponosi jakąś winę, której makler giełdowy pracujący w World Trade Center w Nowym Jorku nie ponosi, jest skandaliczne i haniebne. Paradoksalne byłbym skłonny zgodzić się z Radosławem Sikorskim: jest to przejaw pewnego zwątpienia w wartości, których powinniśmy bronić. Jeżeli nie będziemy ich bronić, to nie będzie potrzeba żadnego ben Ladena, aby z naszej cywilizacji pozostała tylko zewnętrzna pusta łupina.

Otóż my nie dzielimy ludzi na gospodarzy i gości, nie mówimy, że goście mają obowiązek się dostosować do zachowań gospodarzy. Mówimy, że wszyscy mają przestrzegać prawa, które jest wspólne i stanowione dla wszystkich.

Beata Pawlak przed chwilą dowodziła, że trzeba zrozumieć frustracje świata arabskiego, a Ameryka też ma swoje przewinienia. To w obliczu mordu sześciu tysięcy ludzi jakoś mnie bardzo mało wzrusza. Pamiętajmy jednak, że był w Europie islam, który starał się być niesłychanie europejski, liberalny: islam bośniacki, jeden z konstytutywnych elementów europejskiej tożsamości. Pozwoliliśmy ten islam wymordować na naszych oczach, gapiąc się w ekrany telewizorów. Z perspektywy muzułmanów mówienie, że wystarczy przestrzegać prawa, szanować się nawzajem, zaś różnice religijne nie odgrywają roli, błędnie w obliczu ludobójstwa bośniackich muzułmanów. To jednak nikogo nie usprawiedliwia. Ktoś, kto powoływałby się na los bośniackich muzułmanów, by uzasadniać odwetowy terroryzm, byłby taki samym bandytą, jak terrorysta powołujący się na cokolwiek innego. Kiedy jednak myślimy o obrazie nas, Europy, w oczach świata islamskiego, to o tym elemencie też trzeba pamiętać. To była próba, z której wyszliśmy zhańbieni na własną prośbę.

Janusz Danecki: Czy mamy jakiegokolwiek prawo do porównywania cywilizacji, mówienia czego w jednej jest mniej, a czego więcej? Jestem przeciwny takiemu podejściu, ponieważ wracamy do przytoczonej tu rozmowy hindusa z muzułmaninem. Moim zdaniem nie ma kryteriów, które pozwoliłyby na wyważenie takich sądów. Można jedynie szukać przyczyn, które powodują powstawanie różnych wypaczeń. Znajdowałem je tak w przyczynach wewnętrznych, jak zewnętrznych, ale w przypadku fanatyzmu główną siłą jest coś, czego nie potrafię ani zinterpretować, ani wyjaśnić. Wchodzimy w sferę psychologii. Bez analizy

tych działań, poczynań tych ludzi, tych ugrupowań, bo to nie jest tylko organizacja terrorystyczna, to jest również w cudzysłowie „sekte”, która gdzieś czymś się kieruje, nie zrozumiemy przyczyn tego zjawiska.

Kiedy Konstanty Gebert próbował zaprotestować przeciwko rozróżnieniu terroryzmu palestyńskiego i terroryzmu muzułmańskiego, to w pierwszej chwili chciałem zaprotestować. Powiedzieć, że Palestyńczycy są ludźmi walczącymi o wyzwolenie. Ale przypomniałem sobie, że głównym argumentem ben Ladena jest sprawa Palestyny. A z drugiej strony owe organizacje palestyńskie nigdy nie zaprotestowały przeciwko odwoływaniu się ben Ladena do ich działalności⁶. I chyba nie możemy stopniować terroryzmów. Terroryzm jest jeden, nie wiem, jak go zniszczyć, ale nie może istnieć. Jednak walka z nim będzie trwała długo.

Aleksander Smolar: W dyskusji były reprezentowane różne kompetencje, wrażliwości i poglądy. Chciałbym podjąć tu tylko dwa wątki z kilku w niej obecnych. Nie wiem czy terroryzm jest bardziej prawdopodobny w świecie islamu niż w obrębie innych kultur. Chociaż obecnie większość działań terrorystycznych ma miejsce w obrębie państw i wspólnot islamskich. Na pewno ich nieuchronność nie wynika z islamu. Terroryzm również w obrębie tej religii jest zjawiskiem marginalnym, ale może ono doprowadzić niestety do tragedii na ogromną skalę. Zamach 11 września może być jej zapowiedzią.

Szukamy sposobu jak na to niebezpieczeństwo odpowiedzieć. I mamy z tym ogromne trudności. Już dzisiaj widzimy, jak nasz świat racjonalności technicznej może być bezbronny wobec determinacji grupy osób gotowych na śmierć. Dyskutuje się o zainwestowaniu dziesiątków miliardów dolarów na rakiety antybalistyczne, które mają chronić bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych przed zamachem ze strony „państw bandyckich”, a okazuje się, że przy pomocy plastikowych nożyków i pudełka, które udaje bombę, można porwać cztery samoloty i zabić sześć tysięcy ludzi. Inwestujemy w bardzo drogie i wyrafinowane systemy obronne, bowiem potrafimy to zrobić i wierzymy w technikę, a zarazem nie umiemy dać sobie rady z fanatykami uzbrojonymi w broń absolutną: gotowość poświęcenia własnego życia.

Mam ambiwalentny stosunek do tezy Samuela Huntingtona. Zapewne Konstanty Gebert ma rację, twierdząc, że wizja konfliktu cywilizacji może być marksizmem XXI wieku w tym

⁶ Już po naszej dyskusji panelowej Palestyńczycy jednak oficjalnie zaprotestowali przeciwko wykorzystywaniu ich sprawy do usprawiedliwiania aktów terrorystycznych. (Janusz Danecki)

sensie, iż dostarcza prostego klucza, daje klarowną odpowiedź na pytania egzystencjalne, dotyczące zagrożeń, przed którymi obecnie stajemy, określając kto jest „wrogiem” i kto „przyjacielem”. Ale przecież mamy do czynienia ze znacznie bardziej skomplikowaną sytuacją. Problem leży po obu stronach. Dla świata zachodniego, z różnych powodów historycznych i kulturowych, islam nadaje się na wroga cywilizacyjnego. Oczywiście, silne tendencje antydemokratyczne, antymodernistyczne i antyzachodnie, obecne w miliardowym świecie islamu wzmacniają tę tendencję. Ale przecież nie można abstrahować od tego, że islam – nie tylko jego ekstremiści - dostarcza języka mobilizacji przeciwko światu zachodniemu. Jedną z przyczyn są niepowodzenia modernizacyjne okresu dekolonizacji. Jednak możliwość posłużenia się językiem islamu dla wyrażenia rewolty przeciw nowoczesności i przeciw Zachodowi jest – jak sądzę – głęboko zakorzeniona w naturze tej religii. Są bowiem – wspominał o tym prof. Danecki - zasadnicze różnice pomiędzy islamem a kulturą europejską, które wyrażają się w braku oddzielenia sacrum od profanum, świata religii od polityki, władzy od wiary. Oczywiście, bez takiego podziału trudno o nowoczesne państwo demokratyczne, o możliwość realizacji nowoczesnej koncepcji praw obywatelskich. Owo oddzielenie jest na gruncie islamu odbierane jako bolesne, nie dające się zaakceptować rozdarcie, patologia. W obietnicach przywrócenia w obrębie islamu jedności ludzkiego bytu można dostrzec pewne podobieństwo do utopii komunistycznej. Oczywiście, od XIX wieku w różnych państwach islamu (np. Turcja) były i są podejmowane wysiłki by na gruncie tej kultury przeszczepić Zachodnie koncepcje demokracji, prawa obywatelskie. Ale jest to proces, który napotyka na wiele trudności. Islam pozostaje religią bardzo zróżnicowaną, pomimo to łatwo jest na jego gruncie uzasadnić antyzachodnią rewoltę. Nie musi to jednak w żadnym razie prowadzić do terroryzmu.

Druga kwestia, którą na zakończenie chcę poruszyć, dotyczy polityki międzynarodowej. Można oczywiście obecną koalicję antyterrorystyczną porównać do koalicji antyfaszystowskiej z czasów II-ej wojny światowej, czy do sojuszu antynapoleońskiego. W tych przypadkach wspólne cele i interesy pozwalały na zawarcie sojuszy wbrew – zdawało by się – naturze. Można jednak porównać obecną koalicję również do Świętego Przymierza. Po 11 września następuje szybka i radykalna redefinicja priorytetów obronnych Stanów Zjednoczonych, Zachodu i dużej części reszty świata. Terroryzm wyrósł nagle na podstawowe zagrożenie, które pozwala na zjednoczenie bardzo różnych sił, które opowiadają się na rzecz zachowania porządku i bezpieczeństwa międzynarodowego. Raymond Aron po wojnie ujął logikę zarysowującego się świata zimnej wojny w sławną

formułę: „Pokój niemożliwy, wojna nieprawdopodobna”. Dziś można tę formułę odwrócić: w dzisiejszej sytuacji prawdziwa wojna jest nieprawdopodobna, ale pokój jest niemożliwy. Będziemy żyli w świecie bez wojny, ale z poczuciem permanentnego zagrożenia. Wobec tego bezpieczeństwo może przysłonić wolność jako wartość podstawową naszej cywilizacji. To może mieć oczywiście bardzo poważne konsekwencje. W języku oficjalnych deklaracji polityków zachodnich zmienia się stosunek do Czeczenii i polityki Moskwy. Jest wyraźna tendencja do utożsamienia: talibowie–Czeczeńcy–Palestyńczycy. W nowej sytuacji nie może dziwić deklarowana przez prezydenta Putina - to nie jest sprawa tylko taktyki – wola współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. Rosja obawia się terroryzmu wewnętrznego i długiej granicy z państwami islamskimi.

Te problemy dotyczą też nas bezpośrednio. Nie można wykluczyć, iż ewoluująca od końca zimnej wojny koncepcja NATO bardziej jeszcze będzie zmierzać ku wizji zbiorowego bezpieczeństwa. Zobaczymy, czy nie pojawią się – mimo oficjalnych zapewnień - nowe problemy na drodze rozszerzenia Sojuszu. Można też oczekiwać jeszcze bardziej rygorystycznego sformułowania przez Unię Europejską warunków rozszerzenia co do wymogów bezpieczeństwa wewnętrznego i nieprzepuszczalności granic Unii. I bardziej ogólnie, czy w dążeniu do większego bezpieczeństwa nie zapłacimy nie tylko – o czym już mówiłem – pewną cenę wolności, ale również cenę utrzymania barier dzielących Europę.

opracowanie: Grażyna Czubek, Piotr Kosiewski